

ALICJA

PATEY-GRABOWSKA

kochać –  
zapomnieć?

wiersze i opowiadania z książki

## Okno dzieciństwa

Otwieram okno  
mojego dzieciństwa

Eksplozja nieba  
Krzyże mogilne  
Płacz matki  
Pożółkłe zdjęcie  
ojca w mundurze  
Krew  
na ścianie  
jak pogniecione  
płatki róż

Zamykam okno na podwórze  
wspomnień

Niech się nie stanie

## Pożółkła fotografia

„Czy ta mała dziewczynka w krótkiej do kolan sukience w groszki obramowanej przy szyi białym kołnierzykiem bebe, w białych pończoszkach, czarnych półbucikach z klamerkami po bokach, ciemnych włosach przystrzyżonych na pazia, z równo przyciętą grzywką zasłaniającą czoło i ogromną kokardą na czubku głowy, czy ta mała dziewczynka o pyzatej buzi i bystrych dużych oczach spoglądających prosto w obiektyw, czy ta mała dziewczynka na pożółkłej fotografii to ja?” – myśli Wanda, trzymając w drżącej dłoni zdjęcie wyjęte z albumu w skórzanej oprawie, który dostała niegdyś od nieżyjącej już kuzynki.

Przymyka oczy i widzi tę małą dziewczynkę chwytającą kurczowo rękaw matki. Obok babcia podpierająca się laską. Mama dźwiga na plecach tobołek, tak jak wszystkie kobiety objuczone torbami. I dzieci, dużo dzieci, na rękach kobiet tupiących obok. Mężczyzn mało... I tłum, tłum...

Skąd się wzięli ci ludzie, skoro wszystkie domy płoną – i te zburzone, i te podpalone miotaczami ognia. Skąd wyszli? Z piwnic? Ze zgliszcz?

Idą i idą, ulicą Podwale, potem Krakowskim Przedmieściem i dalej, ponaglani gardłowym krzykiem: „*Schnell! Schnell!*”, ujadaniem wilczurów, tych potworów rzucających się na ludzi, szarpiących ubrania, kłapiących nogi ostrymi jak brzytwa zębami...

Przechodzi obok powalonej, pękniętej na pół kolumny króla Zygmunta. Jego twarz ze szpiczastą bródką, zwrócona do nieba, jest jakby przepełniona grozą, widokiem niepojętym; on, zwycięzca, leży upokorzony, spowity dymem i płaczem swojego ludu – ale ona tak wtedy nie myśli. Spogląda z zaciekawieniem na twarz, której jeszcze miesiąc temu nie mogła dostrzec, bo niemal sięgała chmur. Dawniej mała Wanda z chodnika zadzierała głowę, mrużyła oczy. Z ramion matki będzie wyżej – może zobaczy, przyjrzy się królowi, który trzyma w ręku krzyż... ale nic z tego.

Teraz może się nachylić i dotknąć jego twarzy.

– *Schnell! Schnell!* – słycać krzyk.

– Wando, nie zatrzymuj się. Nie stawaj.

Mama pociąga ją za rękę. Idą, idą – wśród ognia, trzasku, huku.

I czarna plama.

Co było dalej...?

Wielka hala. Betonowa podłoga. Tłum ludzi. Krzyk. Gwar. Płacz dzieci.

– Usiądźmy przy ścianie – mówi mama do babci.

Betonowa podłoga jest zimna. Ciało przenika dreszcz. Wanda jest głodna, złękciona. Usta ma spieczone. Mama dotyka jej czoła.

– Boże, chyba jesteś chora, córeczko. Czy jest tu jakiś lekarz? Pielęgniarka?

To obóz w Pruszkowie. Duląg 121.

I znowu w pamięci czarna plama.

– *Raus! Raus! Schnell!*

Krzyki. Ujadanie psów. Tory kolejowe.

Do którego pociągu iść? Do tego z lewej? Z prawej?

Tłumek popycha. Płacz dzieci. Nawoływanie kobiet. Większość kieruje się w lewą stronę. Wybierają ten pociąg, bo towarowe wagony zakryte. Będzie cieplej. Bezpieczniej.

Mama się waha.

– Do którego pociągu idziemy? – pyta babcię.

– Opatrzność wskaże – odpowiada babcia.

Mama odwraca się w lewą stronę. Pociąga małą Wandę za rękę. W tym momencie podchodzi do nich niemiecka pielęgniarka. Wysoka blondyna z opaską czerwonego krzyża na rękawie fartucha.

– *Nein* – mówi.

– *Warum?* – pyta mama.

Pielęgniarka popycha babcię, mamę i Wandę trzymając się kurczowo dłoni matki w prawą stronę.

Już nie można się cofnąć. Tłum napiera.

Ktoś pomaga babci wspiąć się do wagonu. Wrzuca jej laskę. Mama podsadza córeczkę. Sama też już wsiadła. Obok dużo kobiet z dziećmi. Siedzą ściśnięci na podłodze wagonu. Nad nimi błękitne niebo. Słońce. Krążą ptaki.

Gwar. Płacz. Krzyk. Turkot pociągu. Jadą. Dokąd?

Teraz, z perspektywy czasu, Wanda wie, że zostały uratowane. Przez tę Niemkę. Pociąg stojący na torach po lewej stronie pojechał do Oświęcimia, do obozu zagłady. Wanda z mamą i babcią pojechały gdzieś w Polskę, w głąb Generalnej Guberni. Zdaje się w rejon świętokrzyski.

Przesuwają się klatki pamięci Wandy. Jak w filmie. Połyskująca tafla wody. Trzciny. Tatarak.

Kobiety w zapaskach, w podkaszanych spódnicach; ich nogi błyszczą bielą. Zanurzone do pół łydki w rzeczce, tłuką kijankami bieliznę. Woda rozpryskuje się setkami migocących w słońcu kropel. „Jak rój motyli” – myśli Wanda.

Wianuszek dzieci na ogół bosych, pyzaty, umorusanych, otacza ją zwartym kręgiem.

*Ta Dorotka, ta malusia, ta malusia,  
tańcowała dokolusia, dokolusia.*

*Tańcowała ranną rosą, ranną rosą  
i tupiała nóżką bosą, nóżką bosą...*

Wanda śpiewała, klaskała i tupała obutymi w chodaki stopami. Dzieci przypatrywały się jej ciekawie. Albo wymyślała bajki, na przykład o księżniczce Filindanie z warszawskiej wieży. Żeby ulokować się bliżej warszawianki (jak ją dzieci nazywały), zająć pierwsze miejsce w kręgu, przynosiły jej jako zapłatę jajka, a nawet osełki masła. Dostała też kurę, którą po zakończeniu wojny – wbrew zakazom mamy – zabrała w klatce do Warszawy. I tak mała Wanda zarabiała na życie jako artystka, bajarka, tancerka.

„Więc ta dziewczynka z poźółkłej fotografii to ja?” – myśli, wkładając zdjęcie z powrotem do albumu w skórzanych okładkach. „Ta dziewczynka, która tyle przeszła w swoim krótkim życiu. To ja”.

## Za tę

Za tę po drugiej stronie lustra  
aby z godnością przyjęła nową twarz  
i zamknęła na siedem zamków  
dawne pragnienia

Za tę której sumienie  
cierpi na przewlekłą chorobę  
i stetoskop nawet w śmiechu  
wychwytuje agonię

Za tę która uwierzy  
że kaktus urośnie na dłoni  
ale nie uwierzy w miłość

Za tę która szczęście  
utożsamia z dobrze funkcjonującą fizjologią  
(zgodnie z pragmatycznym myśleniem)

Za tę z siódmego piętra ze sklepu z ulicy  
która myśli że przechytrzy czas  
albo już zawarła przymierze z rezygnacją

Za tę mój wiersz

o dopełnienie



## Telefon 8885

*Nadia. Tanio sprząta mieszkanie.*

*Tel. 8885*

Wąski skrawek papieru przyklejony do latarni. Zapisała numer telefonu w notesie.

Trzeba wreszcie porządnie posprzątać mieszkanie. Ubrania męża włożyć do worków. Dać ubogim. Zanieść do Caritasu. Wrzucić do pojemnika na używaną garderobę. Trzeba wreszcie coś zrobić, a nie tkwić sześć lat w przeszłości. Potykać się o jego kapcie, ubrania, bibeloty, kwitki, zaproszenia, notesy.

Czuje się osaczona tym nadmiarem drobiazgów, sprzętów, ubrań związanych z nim; z tym, kogo nie ma. Nie umie przeciąć pępowiny przywiązania, miłości – niegdyś szalonej, zatracającej.

Pamięta pierwszy pocałunek. Ciepłe wargi. Zarost muskający jej policzki.

Spotkali się przypadkiem, przy wypożyczalni kajaków. Było gorące lato. Z dała docierał żywiczny zapach sosnowego lasu. Po jeziorze krążyły kajaki, żaglówki.

Nie potrafiła pływać, ale lubiła usiąść na pomoście i spoglądać z lekką zazdrością na wilków jeziornych wyciągających łódki z hangaru, a potem kołyszących się na drobnej fali.

Nikt jej nie zaproponował przejażdżki. Zresztą i tak by odmówiła. Bała się wody. Z daleka podziwiała wioślarzy – jak się jej zdawało – dzielnych, odważnych, ogorzałych, umięśnionych. „Dla dziewcząt i młodych kobiet pociągająca jest siła fizyczna, stąd powodzenie tępych osiłków” – stwierdziła po latach.

Do Augustowa przyjechała na spotkanie autorskie. Miała już wydane dwa tomiki – wiersze o miłości, a właściwie o tęsknocie za miłością, której jeszcze nie zaznała.

Czy istnieje miłość? Takie zauroczenie zapierające dech w piersiach?

Chyba nie.

Temat spotkania: „Poezja miłosna”. Plakaty z czerwonym sercem przybite pinezkami do pni sosen przykuwały wzrok. Przyciągały.

W sali jadalnej internatu zebrało się z pięćdziesiąt osób. I on, którego widziała przed hangarem, w pierwszym rzędzie. Opalony, pewny siebie, wyprostowany, lekko wysunięta szczęka. Trochę ironiczny.

„Matematyk – pomyślała wtedy. – Uważa swój przedmiot za królową, a humanistów za przygłupów o niskim ilorazie inteligencji”.

Peszył ją. I pociągał.

Zakończyła spotkanie szybciej niż zwykle. Głos zamierał jej w gardle. Czuła suchość w ustach.

Nie, nie popisała się.

Wyszła. Udała się w stronę jeziora. Przysiadła na pniu ściętej sosny.

Musi ochłonąć.

– Moje gratulacje. – Usłyszała niski głos o ciepłym brzmieniu. – Zapraszam na kajak.

– Nie umiem pływać – odpowiedziała.

– Nic nie szkodzi. Jest kapok. Nie utopię pani.

Ziściło się jej marzenie. Wypłynąć na jezioro. Zobaczyć brzeg z innej perspektywy, ze środka. Być blisko trzcin, tataraku, kaczek, perkozów, kurek wodnych.

Była mu wdzięczna i pełna podziwu dla jego męskiej siły, pewności siebie, którą podkreślał kwadratowy zarys szczęki.

Płynęli w milczeniu, wsłuchani w dźwięki wydawane przez spłoszone wodne ptactwo i skrzypienie wiosł. Nagle przypomniała sobie przepowiednię astrologiczną zamieszczoną w styczniowym numerze pisma dla kobiet: „Raki spotkają się nad jeziorem”...

– Jaki jest pana znak? – zapytała znienacka.

– Nie rozumiem – odpowiedział głosem o głębokim brzmieniu. – Co to jest znak?

– No, kiedy się pan urodził? W jakim miesiącu?

– A, o to chodzi... W lipcu.

– W lipcu? – Zadrzała.

Był to czas mody na New Age, której i ona uległa. Nie zdawała sobie sprawy, że ta pseudofilozofia jest niezgodna z doktryną Kościoła. Dzięki uchylaniu rąbka wiedzy o przyszłości horoskopy niosły nadzieję – tak myślała, zresztą nie tylko ona, wstępująca w życie dziewczyna.

– W lipcu? – powtórzyła. – Jest pan spod znaku raka...

„Jestem poetką. I chcę być sama. Sama! Niezależna” – dopadły ją nagle nakazy jej czasów.

– Proszę dobić do brzegu. Chcę wysiąść.

– Ale dlaczego? Co się stało? Nie rozumiem. – Przestał wiosłować. – Źle się pani czuje? Jestem lekarzem. Zaradzimy.

Ach, nie matematyk. Lekarz. „Na jedno wychodzi. Apodyktyczny typ” – pomyślała.

– Muszę wracać. Późno – powiedziała głośno.

– Jesteśmy na wodzie dopiero trzydzieści minut.

– Proszę. Wracajmy.

– Dobrze. Szkoda. Mieszka pani w internacie?

– Tak. Z trzema koleżankami. – Niech nie myśli, że sama albo z mężczyzną.

– Tłoczno. Tak pani nie wypocznie. Wena nie za gości. Znajdę dla pani kwaterę. Musi pani wypocząć.

Wygląda pani mizernie i na bardzo zmęczoną. Fachowe oko lekarza.

„To prawda – pomyślała. – Jestem zmęczona. Tak bardzo zmęczona”.

– Do jutra. Znajdę pani pokój.

I tak się stało. Pokój na poddaszu w drewnianym domku, przed którym rosły malwy. Z belkowanym sufitem i małymi oknami z okiennicami z serduszkami. Pachniało tu drewnem i ziołami. Pod sufitem wisiały girlandy piołunu, nostryka, wrotycza. Leżąc w wygodnym łóżku, liczyła jakże malownicze sęki w deskach.

Pukanie. Zaskrzypiały drzwi. Stał w nich wysoki, opalony. W białej koszuli, niebieskich dżinsach.

„Gdzie zdobył dżinsy? W Peweksie” – pomyślała.

Usiadła na łóżku.

– Mogę? – zapytał.

– Proszę.

W jej pokoiku nie było krzesel. Tylko stolik, dwie półki i haki do wieszania ubrań wbite w ściany.

Usiadł obok niej. Położył dłoń, mocną, dużą, z wyraźnymi żyłami, na jej rękę.

„Takie dłonie mają chirurdzy” – pomyślała.

\*\*\*

Sześć lat go nie ma. Odszedł na zawsze.

On, lekarz, nie pokonał choroby.

Została sama i nie sama. W otoczeniu jego rzeczy. Przedmiotów małych i dużych. Słuchawki lekarskie, nóż do papieru, zegarek, książki, papierosy, zapalniczka, ubrania. Marynarka jeszcze wisi na krześle, buty i kapcie w przedpokoju.

Musi przeciąć pępowinę. Tak żyć nie można. W ciągłym szlochu, nicnierobieniu, wspomnieniach, łzach...

– Zrób remont – powiedziała przyjaciółka. – Inaczej zginiesz, zadręczysz się.

I oto ogłoszenie na latarni: „*Uczciwa. Tania*”...

Wanda wybiera numer. 8885...

– Halo. Czy pani do sprzątanania?

– Nie – odezwał się męski głos.

– Przepraszam pana najmocniej. Pomyliłam numer.

– Nic nie szkodzi – odpowiedział. – Poczułem się bardzo samotny, a tu nagle pani miły, melodyjny dziewczęcy głosik.

– To pomyłka – powtórzyła i rozłączyła się.

Po pół godzinie dzwonek.

– Proszę się nie gniewać – ten sam męski baryton – ale nie mogę zapomnieć pani głosu. Proszę mi coś o sobie powiedzieć. Jest pani młodą, śliczną dziewczyną, prawda? Gdzie pani mieszka?

– W Warszawie – wyrwało się jej.

„Przecież nie ma sensu konferować z nieznajomym. Może to więzień, recydywista, zboczeniec” – myślała.

– Mam na imię Piotr, mieszkam w Radomsku.

„Znowu Piotr. Prześladowuje mnie to imię – zdenerwowała się. – A ja nie mam czasu na tego rodzaju zabawy. Jestem poważną osobą. Starszą kobietą. Trzeba mu to powiedzieć. Wyraźnie. Odczepi się. A może nie chcę, żeby się odczepił?”

Jest sama. Bardzo samotna. Ten Piotr nie ugryzie przez telefon. Nie zamorduje.

Śmieszne. Gdyby znał jej wiek, nie byłby tak natarczywy.

– Sądząc po głosie, jest pani młodziutką dziewczyną. Niestety, ja jestem dużo starszy. Mam czterdzieści pięć lat. Ale młodzieńczy wygląd – zaznaczył z naciskiem. – Uprawiam sporty. Chodzę na siłownię.

„Czterdzieści pięć lat! Niewiele starszy od mojego syna. Absurdalne. Absurdalne – analizowała. – Powiedz mu, że jesteś babcią, że jest dla ciebie za młody. Nawet do konwersacji przez telefon...”

Wtedy zrozumiała, że związek z mężczyzną już nie jest dla niej. Wrogiem jest czas.

„Może i miły człowiek – myślała. – Niekonwencjonalny. Gdybym miała czterdzieści, pięćdziesiąt lat... Góra pięćdziesiąt pięć... Ale nie...”

– Halo? Jest pani tam? – Usłyszała w słuchawce.

„Co mi zrobisz, Piotrze, moja miłości? Zostawiłeś mnie po tylu latach. Samą. Nie pozwalasz na niewinny

flirt. Porzuciłeś w trudnym okresie starości. On tego nie wie, a ja mu nie powiem. On mnie nie widzi. Tak dobrze usłyszeć: „*Masz miły głosik. Dziewczęcy. Szkoda, że jesteś taka młodziutka*”... Taka młodziutka. Przez telefon...

– Przepraszam, ale zaszła pomyłka. Pomyliłam numer. Proszę więcej nie dzwonić. – Wanda się rozłącza.



## Alicja Patey-Grabowska

Warszawianka z urodzenia, jako dziecko przeżyła powstanie warszawskie. Absolwentka wydziału filologii polskiej Uniwersytetu Warszawskiego.

Poetka, autorka utworów scenicznych, książek dla dzieci i antologii wierszy polskich poetek i wierszy katyńskich. Zajmuje się także krytyką literacką, propagowaniem twórczości kobiet na łamach wielu pism literackich, m.in. *LiryDram*. Bo nic, co kobiece, nie jest jej obce.

Wie, co to macierzyństwo, rozstania, wdowieństwo i późny związek uwieńczony małżeństwem. *Bowiem dla miłości nie ma granic czasu.*